

Informacja

Strona znajduje się w archiwum.

PILOT, INSTRUKTOR, SZEFE

Data publikacji 31.07.2021

Bierze udział w akcjach ratowniczych i poszukiwawczych, uczestniczy w zabezpieczeniu wielkich imprez masowych i ważnych wizyt państwowych, siedzi za sterem jako pilot, ratuje jako ratownik, zarządza jako szef, a jako instruktor lotnictwa Policji szkoli policyjnych pilotów na śmigłowcach Mi-8, Bell-412 oraz S-70i Black Hawk.



insp. pil. Robert Sitek

Szef lotnictwa policyjnego insp. pil. Robert Sitek mimo młodego wieku swoim zawodowym życiorysem mógłby obdzielić kilka osób.

Wojsko interesowało go zawsze, bo, jak mówi, intrygują go rzeczy nietypowe, niekonwencjonalne, ale pełne wyzwań. Dlatego jako średnią szkołę wybrał liceum wojskowe w Częstochowie, a następnie sławną Szkołę Orłąt w Dęblinie, którą ukończył w 1997 r.

Zanim 14 lat temu trafił do Policji, przez 10 lat zdobywał doświadczenie w 103. Pułku Lotniczym w Warszawie, następnie w 49. Pułku Śmigłowców Bojowych w Pruszczu Gdańskim. Uczestniczył w V zmianie Polskiego Kontyngentu Wojskowego w ramach operacji Iraci Freedom na śmigłowcu Mi-24D.

W Policji przeszedł wszystkie możliwe stanowiska lotnicze, począwszy od pilota, aż do szefa lotniczej policji. Ale nie potrafiłby zarządzać zza biurka. Cały czas jest czynnym pilotem, ma wylatane ponad 2300 godzin.

Pamięta wszystkie akcje, w których uczestniczył, ratowanie powodzian, poszukiwanie zaginionych dzieci albo turystów w

górach czy ukrywających się przestępców. Każda akcja jest inna, ale każda wymaga precyzji, doświadczenia i dania z siebie wszystkiego.

NAD ZALANYMI DOMAMI

Ratowanie ludzi podczas powodzi należy do akcji najtrudniejszych. Bo z jednej strony jest nieprzewidywalny żywioł, a z drugiej – mieszkańcy, którzy nie chcą opuszczać domów i wierzą, że uratują się, uciekając na piętro, na strych, na dach.

Załoga śmigłowca najszybciej jest w stanie ocenić sytuację, bo z góry lepiej widać, z której strony płynie woda i w jakim tempie się podnosi. Piloci przekazują ratownikom na ziemi te obserwacje, a do akcji ratowania ludzi włączają się, kiedy strażacy nie mają już takiej możliwości.

Tak było w 2010 r. w rejonie Kazimierza Dolnego, gdzie mieszkańcy długo nie wierzyli, że mogą zostać zalani, a gdy wreszcie dotarł do nich rozmiar tragedii, już nie dało się wywieźć ich wozami strażackimi i trzeba było używać łodzi, a wkrótce ratować ich mógł już tylko śmigłowiec. Załoga podejmowała ludzi z dachu i dostarczała na miejsce zbiórki, gdzie otrzymywali pomoc medyczną.

- To był wyścig z czasem. Działaliśmy na śmigłowcach Mi-8 i PZL W-3 „Sokół”, zabieraliśmy na pokład tyle osób, ile się zmieściło, czasem nawet kilkanaście, bo fala powodziowa rosła tak szybko, że nie wiedzieliśmy, czy gdy wrócimy następnym lotem, to oni jeszcze na tym dachu będą. W jakim tempie może podnosić się woda, przekonaliśmy się podczas akcji w rejonie Sandomierza, kiedy lecąc na ratunek, zobaczyliśmy wóz strażacki, obok którego strażacy prowadzili akcję na łodziach, a kiedy wracaliśmy, ten wóz był już cały pod wodą, widać było jeszcze światła – wspomina insp. Robert Sitek.

Najtrudniejsze jest podejmowanie ludzi przez okno, a taka skomplikowana akcja odbyła się w 2010 r. w rejonie Płocka. Trzeba było ratować starszą kobietę z drugiego piętra domu, który miał stromy, dwuspadowy dach. Ratownik spuszczonej przez dźwig na linie nie miał możliwości wejścia przez okno dachowe, bo takiego nie było.

- Dogadał się na migi z kobietą, że śmigłowiec zatrzyma się naprzeciwko otwartego okna poddasza, rozbujemy ratownika na linie i wleci do pokoju. Zrobiliśmy „wahadło”, a wtedy ona nagle zamknęła okno. Jak nam później tłumaczyła, musiała wrócić do pokoju po torebkę. Ratownik na linie ewakuacyjnej odbił się od okna i zawisł. Musieliśmy powtórzyć cały manewr wahadła, gdy pani wróciła. Tym razem się udało, ratownik przypiął kobietę do specjalnej uprząży ratowniczej, stanęli na parapecie, odbili się, znowu wahadło i wciągnęliśmy ich na pokład. A wszystko to odbywało się około sześciu metrów nad lustrem wody, mętnej, spienionej, o trudnej do określenia głębokości. Kobieta była bardzo zestresowana, tłumaczyła, że wróciła po torebkę, bo miała w niej lekarstwa i dokumenty, ale dlaczego zamknęła okno, nie umiała powiedzieć. Działaliśmy wtedy na śmigłowcach Mi-8 i W-3, dziś Black Hawkem jest znacznie łatwiej podejść do ewakuowanych np. z dachu.

W akcji ratowniczej podczas powodzi w 2010 r. policyjni piloci wykonali 176 lotów, ewakuowali łącznie 166 osób. Za walkę z powodzią insp. Robert Sitek, podobnie jak wielu innych policyjnych pilotów, został odznaczony Krzyżem Zasługi za Dzielność.

RATOWANIE I POSZUKIWANIE

W lotniczej służbie policyjnej ciągle dzieje się coś nowego. Kiedy w styczniu tego roku Black Hawk wspomagał TOPR, zastępując ich remontowany śmigłowiec, policyjni piloci uczestniczyli m.in. w akcji poszukiwania turystów porwanych przez lawinę czy ewakuacji narciarki, która złamała nogę. Wcześniej przeszli wspólne szkolenie z ratownikami TOPR-u.

- Przy podejmowaniu narciarki wiał bardzo silny wiatr, kurzyło śniegiem i w akcji potrzebne było wyjątkowe skupienie. To było całkiem nowe i trudne doświadczenie, ale dawało dużo satysfakcji typowo lotniczej – mówi insp. Sitek.

Z TOPR-em policyjni piloci współpracowali nie pierwszy raz, w 2013 r. trzykrotnie policyjny śmigłowiec z załogą po kilka miesięcy pracował z ratownikami górskimi.

Nie ma dwóch takich samych akcji, więc nie ma gotowych schematów postępowania.

Podczas poszukiwań osób, które zaginęły na jakimś obszarze, śmigłowiec lata co 50 metrów pas przy pasie,

sprawdzając teren z wykorzystaniem zainstalowanego na pokładzie sprzętu: kamer termowizyjnych, noktowizyjnych itp. Jeśli szukają uciekiniera, to takie gęste naloty mają też efekt psychologiczny, zaczyna się on bać, popełnia błędy. Jeśli szukają zaginionego dziecka, czasem znajdują je od razu, jak wtedy, gdy szybko namierzili sześciolatka błąkającego się w zbożu, a czasem sytuacja jest zaskakująca, jak wtedy, gdy poszukiwane dziecko schowało się w dziupli drzewa.

Bywa, że akcje poszukiwawcze kończą się wprawdzie odnalezieniem człowieka, ale z tragicznym finałem. We wszystkich akcjach, a w poszukiwawczych szczególnie, niezbędne są ścisła współpraca z ekipą naziemną i bieżąca wymiana informacji. Bell-407 jest do akcji poszukiwawczych najlepszy, ma doskonały system łączności, kamery termowizyjne, noktowizyjne, czułe do dziesiętnych stopni Celsjusza, na pokład może wziąć kilku ratowników albo policjantów. W akcjach ratowniczych świetnie sprawdza się też Black Hawk, jak również PZL W-3 „Sokół”, w mniejszym zakresie - Mi-8T. Śmigłowce zabierają na pokład ratowników medycznych albo z TOPR-u, dźwig, nosze, wyposażenie medyczne itp., wszystko, co potrzebne, w zależności od sytuacji i typu akcji.

NIETYPOWE I NIESPODZIEWANE

Kiedy w ubiegłym roku płonęły torfowiska nad Biebrzą, poleciały ze wsparciem dla strażaków dwa policyjne śmigłowce. Załoga jednego z nich, dzięki kamerom termowizyjnym, wykrywała niewidzialne z dołu kolejne ogniska pożaru i przekazywała informacje strażakom, załoga drugiego koordynowała akcję gaśniczą. W Warszawie kolejne załogi przygotowywały się do gaszenia pożaru z powietrza. W tym celu pożyczyci od TOPR-u potężny zbiornik gaśniczy oraz przeprowadzili ćwiczenia zgrzywające działania ze strażą pożarną.

- Nie wzięliśmy udziału, bo pożar został ugaszony, ale jesteśmy już przygotowani, gdyby takie wydarzenie miało jeszcze kiedyś miejsce. Państwowa Straż Pożarna kupiła odpowiednie zbiorniki i jeśli zajdzie taka potrzeba, będziemy pomagać strażakom w ich akcjach ratowniczych oraz gaśniczych - mówi Robert Sitek.

Zdarzają się akcje zupełnie nietypowe. W tym roku policyjny śmigłowiec transportował serce do przeszczepu. Trzeba to było zrobić w ciągu dwóch godzin i to zadanie, ze względu na ekonomię i zasięg mogła wykonać tylko załoga Bell-407. Z kolei w ubiegłym roku to właśnie policyjny śmigłowiec typu Black Hawk transportował do szpitala w specjalnej kapsule osobę zakażoną koronawirusem.

Ale najbardziej nietypową akcją, w jakiej uczestniczył policyjny śmigłowiec, było wyciąganie z dna Wisły i transportowanie na brzeg potężnych marmurowych rzeźb i elementów wyposażenia pałacu, zrabowanych podczas potopu szwedzkiego w XVIII wieku i zatopionych w Wiśle.

- Lotnictwo policyjne jest formacją bardzo elastyczną i jesteśmy w stanie wywiązać się z wielu także niestandardowych zadań - mówi szef formacji.

NAJWAŻNIEJSZY JEST ZESPÓŁ

Latanie jest tym, co pasjonuje go najbardziej, ale insp. Robert Sitek prowadzi też zajęcia jako pilot-instruktor. Przekazuje kolegom swoje doświadczenie zdobyte podczas szkoleń na Litwie, Ukrainie, w Wielkiej Brytanii, Chorwacji, we Włoszech oraz w USA. Bo piloci muszą się nieustająco szkolić, zarówno teoretycznie, z zakresu przepisów prawnych, jak i praktycznie. Każdy z nich musi umieć obsługiwać dwa, trzy typy śmigłowców, a żeby być w stałej gotowości do akcji, trzeba odbywać nieustanne treningi. Stale doszkalają się także mechanicy, operatorzy kamer czy operatorzy dźwigu pokładowego do ratowania osób, bo przecież wciąż pojawiają się zmiany w wyposażeniu, niezbędne jest przeprogramowanie urządzeń itp.

- Nigdy nie postawiłbym swoim podwładnym zadania, którego sam nie mógłbym wykonać, a gdy jest akcja o wyjątkowo dużym stopniu trudności, to podejmuję się jej osobiście z odpowiednio dobranymi ludźmi. Bo jeden człowiek sam niewiele robi, potrzebny jest dobry zespół. Budowa zespołu wymaga czasu, a w naszym przypadku także środków finansowych. Dobrze byłoby mieć w służbie najlepszych pilotów i najlepszych mechaników, ale trzeba im zapłacić, a zarobki w Policji są nieporównywalne z tymi, jakie pilot może otrzymać w prywatnej firmie. Na szczęście w tej służbie pracują pasjonaci - mówi insp. pil. Robert Sitek.

ELŻBIETA SITEK

(zbieżność nazwisk przypadkowa☺)

Artykuł pochodzi z numeru specjalnego [Gazety Policyjnej](#) przygotowanego z okazji 90 lat Lotnictwa Policji.